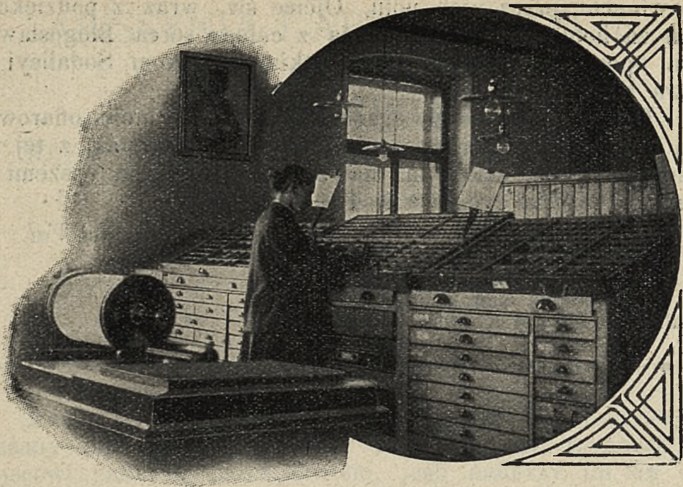


Z drukarni misyjnej w Maria Sorg.

Z WATYKANU.

Miło nam podać do wiadomości Szan. Czytelników, i Dobroczyńców, list Jego Em. Kardynała Sekretarza Stanu Jego Świątobliwości, otrzymany w odpowiedzi na posłane przez nas różne nasze wydawnictwa, jako hołd co roku składany Ojcu św.

Z Watykanu, 23 stycznia 1911.

Nr. 48569.

Pani Hrabino!

Ojciec św. przyjął ze szczególną łaskawością złożone Mu w hołdzie na ręce moje wydawnictwa Sodalicyi św. Piotra Klawera: „Echo z Afryki“ w różnych językach i „Małą Biblioteczkę Afrykańską“ z roku 1910, również jak dwa tomy w języku *mashana* dla Rodezyi i w języku *gengbe* dla Dahomeju, drukowane w Waszej drukarni w Salzburgu.

Jego Świątobliwość śledzi ze szczególnem zajęciem i ojcowskiem sercem działalność misyonarzy, związaną z ich szczytnem posłannictwem ewangelizacyi katolickiej; to też wielkiej doświadcza pociechy, dowiadując się o pomyślnych wynikach, osiągniętych przez te wydawnictwa w ciągu zeszłego roku.

Prosząc Boskiego Mistrza o pomnożenie liczby robotników ewangelicznych i o coraz obfitsze plony łaski i zbawienia na

uprawianem przez nich polu, Ojciec św. wraz z podziękowaniem za hołd synowski, udziela z całego serca Błogosławieństwa apostolskiego Pani i wszystkim członkom Sodalicyi św. Piotra Klawera.

Dziękuję bardzo za egzemplarz „Echa“ mnie ofiarowany i za towarzyszące mu życzenia. Chętnie korzystam z tej sposobności, by wyrazić Pani nawzajem wraz z najlepszemi życzeniami uczucia życzliwe w Panu.

R. Kard. Merry del Val.

Do P. Hr. Maryi Teresy Ledóchowskiej,
Generalnej Kierowniczki
Sodalicyi św. Piotra Klawera w Rzymie.

Kto nie zna...

Kto nie zna misyi wśród pogan w chwili obecnej, temu historya współczesna Kościoła pozostaje również nieznaną; żeby znać bowiem dzieje jakiejś opoki, nie można pominąć jednej ze stron jej najżywotniejszych.

Pochód Krzyża w krajach pogańskich, to — tryumf światła nad ciemnością, cnoty — nad występkiem, miłości — nad wrogiem i jej mocami.

Jeżeli są między nami tacy, co uginają się pod brzemieniem łask Bożych; którym *więcej przebaczono*, a zaczem *więcej umiłowali;* którzy *wdzięczności* swej względem Boga dowieść pragną niesieniem pomocy duszom bratnim: niech spojrzą na zastępy pogan w Afryce i zwrócą się do *Sodalicyi św. Piotra Klawera* z zapytaniem, w jaki sposób odpowiednio do położenia swego i obowiązków użytecznymi być mogą.
(Adres: *Roma. Via dell' Olmata 16*).

Jaką potęgą jest niezłomna wola, wsparta na łasce Bożej, to widzimy w niezliczonych instytucyach dobroczynnych w naszym Kościele; zapytajmy tylko o ich początki. Czyżby nam odmówioną była łaska, gdybyśmy zechcieli, ale *na prawdę zechcieli,* przyczynić się do rozszerzenia królestwa Bożego wśród pogan afrykańskich? Czasem kilka kroków uczynionych, kilka słów powiedzianych w porę, danie komuś do ręki odpowiedniego adresu, lub broszurki, do tego wystarcza. Trzeba chcieć tylko!...

ABISSYNIA I ABISSYŃCZYCY.

CZARNE KWIATY.

Różne szczegóły o Abissynii i jej mieszkańcach.

Przez O. Józefa Baetman'a, misyonarza Lazarystę.

(Ciąg dalszy).

XV.

Przyjęcia.

Każdy z Europejczyków zwiedzających tutejsze strony, uważany jest przez krajowców za dostojnika, a naczelnicy miejscowi nader są uszczęśliwieni, jeśli nadarzy im się sposobność przyjmowania ich nie tyle z ciekawości, ile, że spodziewają się zawsze od nich jakowychś podarków....

Czy chcecie mi towarzyszyć nieco, przyjaciele-czytelnicy? Złożymy wizytę jednemu z tutejszych „Razów". Obozuje on na rozległej równinie, która zdaje się być pokrytą stogami siana, ugrupowanymi dokoła jednego, największego. Stogi te są chatami skleconemi z gałęzi, pokrytemi strzechą, w których mieszkają żołnierze. Środkowa, największa i najstaranniej wzniesiona jest mieszkaniem wodza, który grupuje w ten sposób dookoła siebie wszystkich swoich ludzi. Kazaliśmy się zaanonsować. Podczas przygotowań czynionych do przyjęcia, mam czas rozglądnąć się w sytuacyi. Wszystko co mnie otacza jest zgoła nowem dla mnie! Te głowy czarne, wychylające się z białych tog w jaskrawe czerwone pasy, te włócznie o długich wyostrzonych końcach, te bogate ładownice, osadzone na szerokich pasach, te okazałe pałasze, zakrzywione nakształt sierpów, te tarcze z hipopotamich skór, ci piękni, rośli mężczyźni, udrapowani nakształt posągów starożytnych, którzy patrzą na nas zdziwionym, rozciekawionym wzrokiem, te chaty z gałęzi, te namioty rozbite wśród dzikiej równiny, obramowanej mglisto-szafirowemi górami — to wszystko razem wzięte przedstawiało obraz godny mistrzowskiego pędzla.

Wchodzimy nareszcie po wszystkich ceremoniałem uświęconych ukłonach. Raza siada na łożu ze słomy, pokrytem dywanem, podłoga również zasłana jest słomą; dookoła stają żołnierze z obnażonymi na znak szacunku ramionami, trzymając zbroję wodza. Dwóch wyrostków ogania go od much kitami z ogonów końskich, podczas gdy młody chłopiec, skulony u jego stóp, służy mu za stołeczek pod nogi. Rozmowa

nasza potoczyła się wesoło, szczerze i swobodnie, okraszana grzecznościami na sposób wschodni. Lecz najbardziej podniecała naszego Razę ciekawość — jakie też od nas otrzyma prezenta. Przedłożyliśmy mu je zatem z pośpiechem. Na pierwszy plan wystąpił budzik grający, który podobał mu się niezmiernie, następnie szklanki kolorowe i piękny mały notatnik, który oglądał z ciekawością ze wszystkich stron. Ażeby się pochwalić, iż umie pisać, zapytał mnie o moje imię, jako nowego przybysza. Gdy mu je powiedziałem, zapisał je spiesznie na pierwszej stronicy swego notatnika. Co za zaszczyt! Oto figuruję w jego papierach! Wszelka wizyta w Abissynii połączona jest z libacyą. Podano nam przeto miód w szklanej karafce europejskiej, objętości około jednego litra. Służący podając napój, składa najpierw głęboki ukłon, a następnie wyciąga dłoń, na którą mu się nalewa kilka kropel, aby je wypił, na dowód, że napój nie jest zatruty. Od czasu do czasu, dla dodania sobie animuszu, spluwał wódz energicznie, a za spluwaczkę służyła mu ściana będąca poza nami. Następnie, dla odmiany ucierał nosa; piastował wprawdzie w ręce chustkę do nosa, lecz nie wiedząc, jak jej użyć, wolał posługiwać się palcami.

Gdy powróciliśmy wieczorem do siebie, przysłał do nas Raza jednego ze swych oficerów, dziękując nam za odwiedziny i ofiarował nam „na kolacyę“ — jak się wyraził — cztery kozły i 50 litrów miodu. Dziwi was może, przyjaciele-czytelnicy, skromność podarków, ofiarowanych przez nas, lecz przedewszystkiem powiedzieć wam muszę, że każdy Abissyńczyk jest i do końca życia pozostaje dzieckiem. Nie znaczy to, izby nie miał czasem wymagań aż przesadnych, lecz na ogół drobnostka, byle obcokrajowa, zwłaszcza zaś broń wszelka, sprawia mu radość, której ani potrafi, ani chce ukrywać. Przytoczę tylko jeden fakt znamienny, mianowicie: gdy ośm lat temu dwóch naszych misyonarzy przechodziło przez Adis-Abeba, stolicę królestwa, cesarz Menelik, król - królów Etyopii, prosił ich, ażeby mu w prezencie przysłali... kilka par skarpetek!... Widać do jakiego stopnia garderoba królewska w opłakanym musiała być stanie!

(C. d. n.).

ZŁOTE ZIARNO.

Idź ciągle naprzód, nie stawaj, nie cofaj się, nie schodź z drogi!

(Św. Augustyn).

MISYE AFRYKAŃSKIE
w koloniach portugalskich w nędzy.

Republika portugalska, rozpocząwszy rządy od wygnania zakonników z Portugalii i od szeregu najbrutalniejszych gwałtów, kieruje teraz swe ciosy ku misyonarzom katolickim w koloniach do niej należących, skazując ich na wygnanie.

Jest to barbarzyństwo, jakiego nie dopuścił się rząd francuski. Jakiż występek zarzucić można tym biednym zakonnikom i zakonnicom? Czy to — że nawracają murzynów na wiarę chrześcijańską, że wychowują sieroty i niosą między najbardziej zwyrodniałych członków ludzkości pochodnię wiary i oświaty?

Wolnomularstwo portugalskie, przez żydów kierowane, wykazuje jasno teraz swe dążności. Celem jego jest zniesienie chrześcijaństwa w Portugalii. Fanatyczna ta nienawiść nie cofa się nawet przed czynami, których sprzeczność z dobrem państwa portugalskiego, jest uderzająca. Rząd, wydalając misyonarzy, pozbawia się usług jedynych bezinteresownych apostołów cywilizacyi w koloniach murzyńskich, zaledwie wyszłych z barbarzyństwa. Misyonarze to zajmowali się wychowaniem ekonomicznem i moralnem tych ludów, wszczepiając w nie zamiłowanie porządku i uległość dla władzy. Wszystkie państwa europejskie popierają całą swą powagą misye chrześcijańskie w Afryce, widzą bowiem w misyonarzach najdzielniejszych szerzycieli cywilizacyi. Jeden tylko fanatyczny rząd portugalski woli, by kolonie jego cofnęły się pod względem ekonomicznym i moralnym, niżby miały dać się nawrócić na katolicyzm.

Jak wiadomo Niemcy i Austrya protestowały otwarcie przeciw tak jawnemu pogwałceniu traktatu brukselskiego i republika portugalska musiała cofnąć wyrok wygnania. Co zaś tyczy się misyj kwitnących OO. Jezuitów nad Zambezą, postanowiono zostawić im czas dla znalezienia zastępców w kapłanach świeckich! Decyzya — łatwiejsza do powzięcia, niż do wykonania.

A jednak cios fatalny spada na wszystkie misye na terytoryum portugalskiem, cios nie pozostający w sprzeczności, dosłownie rzeczy biorąc, ze słynnym traktatem brukselskim, więc też interwencya postronna nie zdoła go złagodzić: republika portugalska cofa subsydya dostarczane przedtem misyom. Od 1 października **nic** już one nie otrzymują. Zamiast wygnania tedy — nędza, zniszczenie, spustoszenie!

W istocie nasuwa się pytanie, co lepsze! Nie jest to już śmierć natychmiastowa, ale powolna, obmyślana, i tem boleśniejsza może, iż tak powolna.

To też z różnych stron Afryki dochodzą do Sodalicyi naszej wieści tej nędzy. Przełożony OO. Franciszkanów, O. Teixeira z Mongi, prefekt apost. misyi Dolnego Konga, O. Magalhães z Landany, O. Wendling, wikaryusz apostolski misyi w Loandzie, Siostry z Kongr. św. Józefa z Cluny z Boromy i Landany, nie mówiąc już o OO. Jezuitach z nad Zambezy, błagają nas o pomoc w tej krytycznej chwili.

Dla dania pojęcia o położeniu, nadmienić należy, że dawny rząd wspomagał hojnie te misye. I tak: dla jednej misyi w Boromie przeznaczał 40.000 fr., Malanga otrzymywała 30.000 fr., Musuku — 20.000 fr., Lobollo — 17.500 fr. i t. d. Wszystko to cofnięte odrazu.

Co też misyonarze poczną wobec takiej zmiany? Mająż zamknąć szkoły, przytułki dla sierot? Mająż usunąć dzieci, chorych, katechistów? narazić ich na głód, pozbawić dachu, lub, co gorsze, pchnąć w ramiona innowierców? Dla kapłana to perspektywa rozdzierająca serce!

Czyżby napróżno zwracali się oni do nas, swych przyjaciół w Europie?...

O, nie! Nigdy jeszcze Pan Bóg nie pozostawił Misyonarzy i Sióstr misyjnych w nędzy. Nie słyszano nigdy, aby Misyonarz miał umrzeć z głodu. I teraz więc ulituje się, mocno ufamy, nad ofiarami masoneryi portugalskiej, wzbudzając serca wspaniałomyślne dla dania im chleba, którego inni odmawiają.

Prawda, że miłosierdzie publiczne musi zastąpić znacznemi sumami, kosztem wysiłków heroicznych, zapomogi zniesione przez rząd portugalski, ale czemże jest te 50.000, a nawet 100.000 franków, jeżeli za tę cenę podtrzymać można misye kwitnące! Czemże jest te 100.000 franków, jeśli za ich pomocą unicestwić można bezecne plany tyrana-masona, obracając je na korzyść Kościoła i religii! Wszystko zresztą utwierdza w mniemaniu, że to przesilenie nie będzie długotrwałe. Gdyby za pomocą jałmużn naszych misye chociaż rok się utrzymały, mogą być uratowane na zawsze, za rok bowiem położenie zmienić się może całkowicie na korzyść misyj i świętej naszej religii.

A więc, kochani Przyjaciele, bogaci i ubodzy, powstańmy wszyscy dla przyjścia z pomocą Misyonarzom, dla przyjścia z pomocą Siostrom! Oddadzą nam to oni swą modlitwą! O jeden raz więcej, wyciągając rękę, proszę Was i błagam, nie odmawiajcie mi jałmużny choćby najmniejszej dla

misyj portugalskich.

Oby błogosławieństwo Boże było Waszą nagrodą!
Cała wdzięczność nasza w Panu!

M. T. Ledóchowska.

Korespondencya misyjna.

Z KRAKOWA DO ANGONII NAD ZAMBEZĄ.

Dziennik podróży O. Lazarewicza T. J.

„Dobiega już rok — tak pisze O. Lazarewicz — jak się pożegnałem z administracyą *Echa* w Krakowie. Kuryer, który mię unosił z ojczystej ziemi, w przeciągu dni kilku przebiegł jak wicher rozległe kraje i państwa: Austryę, Szwajcaryę, Paray le Monial, Lourdes, południową Francyę, północną Hiszpanię, Portugalię — a mnie cisnęły się do duszy słowa X. Karola Antoniewicza:

»O Matko, Matko wskaż mi drogę,
Bez Ciebie żyć i kochać nie mogę;
Powiedz, czy w obce mam się udać strony,
Gdzie mi już polskie nie zahuczą dzwony?!« —

W Lizbonie, stolicy Portugalii, zatrzymałem się sześć miesięcy w kolegium Ojców naszych, w celu poduczenia się języka portugalskiego, niezbędnie potrzebnego w portugalskich koloniach zamorskich. Językiem tym obecnie już władam.

Pierwszego lipca w pierwszy piątek miesiąca opuściłem Lizbonę. Na kilka dni przed wyjazdem, przysłał mi z Rzymu W. O. Asystent Freddi w nieobecności W. Ojca Generała, bawiącego na kuracyi, błogosławieństwo na tę daleka podróż. W dzień wyjazdu, na życzenie Ojca Prowincyała Cabrala, odprawiłem Mszę św. w kaplicy domowej, podczas której Ojciec Prowincyał z Ojcem Socyuszem odśpiewali *Justus ut palma...* przy akompaniamencie harmonium. W czasie Mszy św. przystąpili do Komunii św. moi towarzysze podróży i prac misyjnych Scholastycy: Simas i Antonio da Cruz, Brat Böhmer i Brat Oliveira.

Do portu odprowadził nas Ojciec Prowincyał, O. Rektor, czterech Ojców i kilku Braci. Z uderzeniem dwunastej godziny w południe parowiec odbił od brzegu. Orkiestra okrętowa grała smętnego marsza. Na brzegu stały tłumy publiczności. Parowiec oddala się od brzegu, coraz więcej rozdziela nas od lądu, już płynie w oddali... widzę jeszcze Ojca Prowincyała, wśród tłumu stojącego i powiewającego białą chusteczką na znak pożegnania i szczęśliwej podróży. Jeszcze chwil kilka i zniknął już mi z ócz ukochany Ojciec Prowincyał, zniknęli Ojcowie i Bracia stojący na brzegu - zniknęła ziemia, zniknęła Europa. Poszedłem do kajuty, upadłem na kolana, prosząc Matkę Bożą i Aniołów o opiekę i szczęśliwą podróż.

Ponad głębinami oceanu przez miesiąc cały unosił nas olbrzymi parowiec pocztowy „Lisboa“ *), 140 metrów długi, a 20 m. szeroki, objętości 10.000 ton, nowo zbudowany w dokach angielskich za przeszło 3,000.000 franków, odbywający pierwszą podróż morską do południowej Afryki. Kajutę dano mi osobną, wygodną i obszerną, w której codziennie odprawiałem Mszę św. (z wyjątkiem trzech dni koło Cape-Town, gdzie morze było niespokojne), a w niedzielę na pokładzie okrętu, lub w sali rekreacyjnej, na którą zbierała się dość pokaźna liczba katolików portugalskich. Przez całą podróż byłem zdrowy, choroby morskiej nie miałem.

Przez pierwsze trzy dni byłem na pełnem morzu. Morze, to objaw wszechmocy i potęgi Bożej. Dokoła, jak okiem sięgnąć, wielkie, niezmierzone wody i wody, w dzień słońce palące, w nocy miryady gwiazd na firmamencie niebios rozsiane, a za niemi tam wyżej ukryty Pan Mocny, który je stworzył. Widziałem całe wojska delfinów płynące gęsiego, inne potwory morskie, ryby latające po powierzchni morza i całe stada ptaków śnieżno-białych, unoszące się nad parowcem. Przychodziły mi wtedy na myśl słowa Psalmisty: „Błogosławcie morza i rzeki Panu! Błogosławcie wieloryby i wszystko co się rusza w wodach Panu! Błogosławcie wszyscy ptacy powietrzni Panu, chwalcie i wywyższajcie Go na wieki!“

Trzeciego dnia zbliżamy się do uroczej wyspy Madeiry, słynnej z winnic. Trzy godziny zaledwie zatrzymał się tu parowiec i wyruszył w dalszą podróż. Po trzynastodniowej jeździe zbliża się do nowo zbudowanego portu „Lobito“ w kraju Loanda. Tutaj zgotowano nowemu kolosowi „Lisboa“, przybywającemu po raz pierwszy do portu, wielką owacyę. Na brzegu zagrzmiały moździerze, ozwały się salwy, syczały rakiety. Port przystrojono w tryumfalne bramy, na domach urzędniczych i chatach murzyńskich powiewały biało-niebieskie chorągiewki. Zjawiła się wkrótce cała tamtejsza klasa urzędnicza w stroju galowym na pokładzie okrętu. Przychodzili tłumnie murzyni w stroju adamowym z przepaską tylko na biodrach, przychodziły murzynki w długich, różnobarwnych chustach, i ze zdumieniem przyglądały się olbrzymiemu parowcowi. Wieczorem o godzinie 9 parowiec podniósł kotwicę. Widok był imponujący, gdy odbijał od brzegu. Wpośród setek płonących lampionów wzdłuż brzegu, sztucznych ogni i stosów beczek smolnych, jakby gór palących się, znowu zagrzmiały moździerze, syczały rakiety, huczały salwy na brzegu, a na pokładzie parowca warczały bębny, brzmiały hejnały orkiestry okrętowej i dźwięki tęsknego marsza portugalskiego, daleko rozlewały się po wodach oceanu.

*) Ten sam parowiec podczas podróży do Afryki koło przylądka Dobrej Nadziei wjechał na skały podwodne. Trzy osoby utonęły. Okręt stracony.

Dnia 23 lipca o godz. 12 w południe stanęliśmy w Cape-Town (Kabo). Jest to duży port angielski, gdzie stają wszystkie statki płynące tą linią morską. Zwiedziłem pospiesznie miasto, gdyż według rozporządzenia komendanta okrętu, za trzy godziny parowiec miał wyruszyć w dalszą drogę. Miasto okazałe, położone w rozległym wąwozie wśród malowniczych gór. Kamienice piękne, siedmiopiętrowe, wille urocze, które w Wiedniu, Paryżu i Londynie byłyby przedmiotem podziwu i zachwytu. Ulice szerokie; nowo budująca się katedra św. Jerzego, śliczny park palmowy wśród miasta. Ludność przeważnie biała, murzynów stosunkowo niewielu. Tramwaye elektryczne, automobile, bicykle, dorożki konne, kolej... wszystko to czyni obraz jednego z większych miast europejskich.

Dnia 27 lipca przybyliśmy do Lorenco-Marquez, gdzie się parowiec zatrzymał sześć dni w celu zaopatrzenia w węgle. Korzystając z tej sposobności, złożyłem z moimi towarzyszami wizytę Przewielebnemu X. Biskupowi de Sienna, Pasterzowi naszej misyi zambeskiej. Przyjął nas ciepło i mile, wyrażając się z wielką pochwałą o pracach misyjnych w Angonii.

Z Lorenco-Marquez wyruszyliśmy do portu Beira, a stąd na małym parowcu „Manica“ do Chinde. W Chinde zatrzymaliśmy się półtora dnia, czekając na parowczyk „Chire“, który miał nas zawieźć przez rzekę Zambezę do Tete. Odwiedziliśmy X. Proboszcza, który nas zaprosił na obiad. Na nocleg przyjąć nas nie mógł, bo nie było miejsca. Hotele również były przepełnione. Po długich jednak poszukiwaniach, w ostatnim hotelu „de José“ znaleźliśmy jeden pokój wolny. Jakże ten salon wyglądał? Ściany z desek, w oknach szyby wybite, które zatkano szmatami, dach dziurawy. Postawiono obok siebie pięć łóżek dla mnie i moich czterech towarzyszy, stolik ze świecą i jedno krzesło. Za 36 godzin pobytu w tym saloniku z dwoma obiadami i kolacyami, podano nam rachunek na 20 tysięcy reisów (czyli 100 koron). Czy to bagatela?

Dnia 9 sierpnia o godzinie 2 po południu na parowczyku „Chire“ odpłynęliśmy rzeką Zambezą do Tete. Żegluga Zambezą do Tete trwała 12 dni. Olbrzymia, szeroka to rzeka, że dwadzieścia razy szersza od Wisły naszej pod Krakowem. Woda swą słodką karmi potworne krokodyle i olbrzymie cielska hipopotamów. W wielu miejscach utworzyła długie ławy piaszczyste i formalne wyspy, porosłe wysoką trawą i krzewami. Po obu brzegach widać rozsiane wioski pogańskie i ogromne nieprzejrzane stepy. Na olbrzymiej przestrzeni od Chupangi, aż do Tete, po obu stronach Zambezy tysiące jest osiadłych pogan, nie znających jeszcze prawdziwego Boga. Gdy jechaliśmy blizko brzegu, dzieci, mężczyźni i kobiety biegły wzdłuż brzegu, patrząc na nas ze zdumieniem. Przeszło 30 lat wielu misyonarzy przechodzi tą drogą i nie było jeszcze kapłana, któryby tym

opuszczonym narodom przyniósł światło Ewangelii. „Żniwo wielkie, ale robotników mało. Proście tedy Pana, aby wysłał robotników do winnicy swojej!“ Gdyby tą drogą dziś Zbawiciel przechodził, zawołałby, jak niegdyś do rzeszy na puszczy: „Żal mi tego ludu!“

Zambezą płynęliśmy tylko w dzień, na noc parowczyk, z obawy wjechania na mieliznę, zarzucał kotwicę na brzeg lub na ławę piaszczystą. Raz czując się osłabionym, wyszedłem wieczorem na ląd. Noc zapadała, gwiazdy wschodziły na niebie. Szedłem twardą, suchą ławą piasczystą, nieco w oddali widać było rozległe dzikie lasy. Uszedłszy ze 200 metrów, usłyszałem w pobliżu przeraźliwy ryk lwa. Przerażony, co tchu wróciłem do swoich. Na tej żegludze mieliśmy za towarzysza dyrektora Kampanii zambeskiej. Nadto na czterech dużych łodziach, przyczepionych do parowca, jechało z nami 200 murzynów wracających do Kwelimane, Boromy i Angonii po dopełnieniu kontraktu roboczego w Loandzie.

Dnia 18 sierpnia wieczorem parowiec zarzucił kotwicę na rzecznej wysepce. Na piasczystej tej wyspie, przy świetle jaśniejących gwiazd, urządzili murzyni zabawę, tańce kaferskie i atak wojenny. Przeszło stu murzynów, przeważnie Angonów, brało w niej udział. Najpierw rozpoczęli tańce. Formują dwa wielkie półkola naprzeciw siebie w odległości 20 metrów. Na znak dany zaczynają śpiewać. Pieśń piękna, oryginalna, przebija w niej tęsknota i dzikość. Każdy z nich do taktu kręci się w miejscu, jakby depcząc ziemię, rzucając ramionami to w prawą, to w lewą stronę, gestykulując równocześnie rękoma. Po chwili w tych samych ruchach ciała zbliżają się do siebie, czyniąc nagły odwrót we wzorowym porządku na pierwotne miejsca. I znowu wśród dziko - melancholijnej pieśni kręcą się, zbliżają do siebie i wracają napowrót. Powtarzali to kilkadziesiąt razy. Następnie wykonali atak wojenny. Utormowawszy się w dwie kolumny, każdy trzymając w ręku kij (zamiast włóczni), powolnem tępem szli w stronę nieprzyjaciela, śpiewając piękną oryginalną pieśń wojenną. Po chwili z pierwszego szeregu nagle jeden wybiega naprzód, rzucając kijem przed siebie, na prawo, na lewo, jakby chciał przebić nieprzyjaciela, potem cofa się i upada na ziemię; po kilku sekundach, jak żmija czołga się po piasku... zrywa się nagle i czyniąc skok tygrysi, błyskawicznie rzuca kijem to w powietrze, to w piasek. Wtedy za nim w kolumnach powstaje, grzmi i huczy burza przeraźliwych dzikich wrzasków, świstu, ryku i wycia.... Walka skończona, nieprzyjaciel pokonany. Ustawiwszy się w jedną długą kolumnę wracają wśród pieśni bojowej.

(Dokończenie nastąpi).

ROZBICIE SIĘ STATKU.
(Gabun).

O. Lucas, ze Zgrom. Ojców od Ducha św., pisze:

Misya Najśw. Serca Jezusowego w Butice, znaną już jest, Czcigodnej Pani; dużo już świadczyłaś jej dobrego, misyonarze, którzy przeszli tędy, donosili często o swych przedsięwzięciach, pracach, radościach, smutkach... przedstawiali niejednokrotnie swe potrzeby i każdym razem odpowiedziałaś szczodrą jałmużną, która zaszczyt Ci przynosi, a którą Pan Bóg nagrodzi z pewnością.

Co do mnie, jeżeli żyję dotąd, zawdzięczam to Najśw. Pannie, ponieważ na Jej cześć — wszystko. Proszę pozwolić mi opowiedzieć to w krótkości.

Wracałem do misyi w Butice po ośmiodniowej podróży, czas ten upłynął mi na wybrzeżu morza. Cieszyłem się, że wracam. Zetknąłem się z ludnością nieznaną, która mi się wydała bardzo interesującą. Długie z mieszkańcami tamtejszymi prowadziłem rozmowy i obiecałem wrócić jak najprędzej. — Wszyscy wydawali mi się dobrze usposobieni. Miałem sposobność nawet udzielenia Chrztu św. kilku umierającym.

Wracałem więc i znajdowałem się na środku małej zatoki (przy ujściu rzeki), którą trzeba przebyć, chcąc dostać się do misyi, gdy zerwała się burza. Morze w jednej chwili stało się straszne. Olbrzymie fale piętrzyły się jak góry. Widziałem niebezpieczeństwo, lecz zażegnać go nie mogłem. Byłem zrezygnowany na to, co miało nastąpić. Wiatr gwałtowny zerwał maszt, którego usunąć nie zdołałem i znaleźliśmy się wszyscy, to jest ja i ośmioro dzieci w morzu, walcząc ze śmiercią w oczy nam zaglądającą. Było około godziny 5 wieczorem, a znajdowaliśmy się co najmniej o 2 kilometry od lądu. Noc nadchodziła... Co począć?... Wzbudziliśmy akt żalu, potem udzieliłem rozgrzeszenia towarzyszącym mi dzieciom, gdyż wszystkie były już ochrzczone i dodałem: wzywajmy Najśw. Pannę, Ona to nas wybawi... I oto dzieci zaczynają się modlić: „Nanoe Maria, Nanoe Maria, voloego byzoe“ (Matko nasza Maryo, Maryo, Matko nasza, pomóż nam, ratuj nas). Modlitwa ta trwała trzy długie godziny, to jest cały czas, któryśmy byli w wodzie... Noc już zapadła. Gdzie znajdowaliśmy się? Na pełnem morzu i daleko zapewne? Nie!... Zamiast płynąć z prądem wody, który musiałby nas tam unieść, przybyliśmy na ląd... Marya prowadziła nas i niosła Sama... Ona to kierowała resztkami rozbitego statku, których uczepiliśmy się. Po ludzku mówiąc, ratunku nie było,

musiałaby nastąpić niechybna śmierć wśród fal morskich. Marya nas wybawiła... Chwała Maryi!... Ja sam czułem, że mnie ktoś niósł. Płynąłem z łatwością i bez wysiłku pomimo to, że nie mam w tem wprawy. Byłem w sutannie, co jednak ruchów mi nie utrudniało... Cześć Najświętszej Pannie!...

Na nieszczęście wielkie poniosłem straty... Zginęło wszystko, co miałem z sobą... Wymienię tylko ołtarz mój przenośny i całą jego zawartość: kielich, patenę, krzyż, mszał, bieliznę kościelną, dwa podwójne ornaty, stuły, manipularze, albę, cingulum i t. d. A jeden już tylko nam pozostał, to za mało! Pole naszej działalności jest olbrzymie, zdarza się zaś czasem, że dwóch nas lub trzech znajduje się w podróży! We Mszy to świętej czerpiemy siłę i odwagę potrzebną do przebiegania wiosek, wskazywania tym biednym ludziom drogi do nieba i znoszenia z radością nieraz goryczy i niewdzięczności, jaką nas napawają.

Polecam się więc miłosierdziu Czcigodnej Pani i Dobroczyńców misyj afrykańskich.

ODCINEK.

SYNOWIE OGNIA.

Przez W. O. Thevenoud, z Kongr. Ojców Białych.

Rozpoczynałem wówczas życie me apostolskie. Przybyłem właśnie pełen nadziei do misyi w Sudanie, w tę stronę Mossi, gdzie misyonarze osiedli zaledwie. Zaludnienie tu bardzo gęste i mieszkańcy zdawali się dojrzali dla przyjęcia Dobrej Nowiny. Było to pole, które miałem wykarczować, zaorać i zasiać.

Z iście młodzieńczym zapałem wziąłem się do dzieła, zaczynając od zwiedzenia wiosek w okolicy Onaghadugon.

W jednej z tych podróży miałem sposobność znalezienia się w wiosce zamieszkanej przez kowali. Prędko doszedłem do przekonania, że ci potomkowie Tubalkaina tworzyli kastę osobną, rodzaj tajnego stowarzyszenia, które pozyskać byłoby niełatwo.

Po kilkakrotnych odwiedzinach należało wyjaśnić powód mej obecności w ich gronie. Wszędzie spotkałem się z największym oporem.

W Totenga wypędzono mię; w Zoekonga wielkie okazano zdziwienie, że probuję czegoś podobnego. Za drugą mą wizytą znalazłem radę starszych zgromadzoną Siedząc na ziemi ze skrzyżowanemi nogami, z fajką w ustach i surowym wyrazem twarzy, czekali mego przybycia.

Ledwie zsiadłem z konia, wszczęła się rozmowa. Jeden z obecnych mówi mi odrazu z brutalną szczerością: „Nie chcemy ani ciebie, ani twojej nauki. Jesteśmy kowalami, niemożebną więc jest dla nas nauka twojej religii. Ojcowie nasi nie modlili się i my nie chcemy postępować inaczej jak oni.



O. Vignier, z Kongr. Ojców Białych, w otoczeniu Mossów.

Jesteśmy synami ognia, a synowie ognia nie modlą się. Gdybyśmy modlili się, śmierć przeszłaby przez wioskę naszą i ziemia pochłonęłaby nas w swem łonie. My kujemy żelazo, kopiemy studnie, wyrabiamy roboty z drzewa, zajmujemy się czarami i jemy psy. Oto nasze właściwości, rozważ je pilnie i sam zobacz, czy dadzą się pogodzić z tem, czego od nas żądasz. Modlić się? To niemożebne! Więc nie nalegaj i nie przychodź psuć dzieci naszych swoją nauką. Idź sobie i pozwól nam żyć, jak żyliśmy dotąd."

— Jesteście kowalami — odpowiedziałem — ale w moim kraju są także kowale!

— A! doprawdy! są kowale w kraju białych?

— Niezawodnie i są oni co najmniej tak wprawni, jak wy. Zobaczcie tylko wędzidło mego konia, moje strzemiona, moje ostrogi. Tak w moim kraju są kowale i modlą się do Pana Boga!

— A więc my, my nie modlimy się! Jest to różnica między nimi a nami. My jesteśmy synami ognia. My chcemy tylko ognia. Bóg go dla nas stworzył. My jesteśmy kowalami bożymi. Kucie żelaza — to nasza modlitwa: modlitwa dnia wczorajszego, dzisiejszego i jutra.

— Ale, gdy umrzecie, jeżeli nie poznacie Boga, jeżeli wzywać Go nie będziecie, pójdziecie do piekła w wieczny ogień.

— Pójdziemy, gdzie poszli nasi ojcowie. Teraz nie wiemy, gdzie oni są, lecz w chwili naszej śmierci światlo niespodziane doprowadzi nas do nich. Ale ty, co chcesz, byśmy się wyrzekli tradycyi przodków naszych, czy nie czynisz tak, jak czynili twoi? Oni się modlili i ty się modlisz; nasi — nie modliii się i my modlić się nie będziemy!

— Ojcowie wasi nie modlili się, gdyż nie znali Boga; a ponieważ wy Go nie znacie sami, przysłał mię On do was, abyście poznawszy Go, cieszyć się mogli kiedyś szczęściem bez końca.

— Pójść do Boga? To być nie może! Gdybyśmy nawet chcieli modlić się, odmówiłby wysłuchania nas. Raz jeszcze, zostaw nas, jesteśmy synami ognia.

— Jesteście synami szatana i serca wasze są złe, jak jego. Kiedy umrzecie, Bóg, który jest waszym Panem, stanie się Sędzią waszym, a że nie chcieliście słuchać tego, kogo dziś wam przysyła, ukaże was w wieczności.

— Uciekniemy — odpowiedział z idyotycznym szyderczym śmiechem najzajadlejszy z bandy.

— Nie znieważajcie Boga, On wszystko widzi, wszystko słyszy, a kara Jego zawieszona już może nad wami.

— Mów więc do Niego za nas, proś Go, by nam przyszedł z pomocą! — odzywa się jeden z obecnych, który dotąd nie brał udziału w dyspucie.

— Tak, będę Go prosił, aby oświecił umysły wasze i żeby dopomógł wam do zejścia ze złej drogi.

— My nie chcemy, my! — przemówił znowu stary fanatyk. — Zostaniemy tem, czem jesteśmy i nie pójdziemy inną drogą, jak ta, którą szli nasi przodkowie. Znasz teraz nasze serca; idź sobie, już nasycili śmy się twoją osobą.

Nie pozostawało mi nic innego, jak otrząsnąć w tej wiosce pył z mego obuwia. Ostatni raz, zanim wsiadłem na konia,

rzuciłem im groźbę gniewu Bożego, jeżeli nie zmienią postępowania.

— Proś Boga o przebaczenie dla nas! — wołał, gdy się oddalałem, ten sam człowiek, który już przedtem domagał się odemnie modlitwy.

Była jedenasta godzina, słońce słało palące swe promienie, trud drogi łączył się z doznaną przykrością. Wracałem do misyi smutny, ale nie zniechęcony.

Młody misyonarz miał racyę, ufając wbrew nadziei.

„Już ludzie ci — pisze on — stracili wiele ze swej nienawiści, i ci kowale odrażający postąpili już na dobrej drodze od czasu mego pierwszego zetknięcia się z nimi. Uważają się za naszych przyjaciół, odwiedzają nas, będąc dla spraw swoich w Onaghadugonie. Zaręczyli nawet młodą dziewczynę ze swej wioski z jednym z naszych neofitów, co ma być dowodem wielkiej sympatyi. Teraz mówią:

— Znamy was, chcemy uczyć się religii, chcemy modlić się, jak wy!

Niech Bóg będzie błogosławiony! Módlcie się za moich synów ognia.“

KRUCYATA MODLITWY O NAWRÓCENIE AFRYKI.

(28 kwietnia — 7 maja).

„*Proście, a będzie wam dano;*
szukajcie, a znajdziecie;
kołaczcie, a będzie wam otworzono“
(Mat. VII).

Istnieje potęga i moc, przyoblekająca nas niejako, a często przez nas zapoznana; tą potęgą jest *modlitwa*.

Dar niebios dostępny dla każdego; niema nędzarza, ani grzesznika, któremuby wzbronionem było doń się uciekać, któryby został wykluczony z posłuchania, jakiego udziela Stwórca świata i Pan Najwyższy swemu stworzeniu, gdy tylko to stworzenie wezwie Go i wyciągnie ku Niemu dłonie. Nędza, słabość — to powody, ułatwiające dostęp. Klucz od skarbów niebieskich nam powierzony. Wolno każdemu czerpać z nich nietylko dla siebie, ale *dla wszystkich*; źródło dobrodziejstw Bożych nigdy nie wysycha. A nietylko swoboda czerpania nam przysługuje, lecz jeszcze słodka powinność nas do tego skłania.

Czy myślimy o tem?

A może warunki tej wszechpotężnej prośby nas zniechęcają? Wszak dają się one sprowadzić do jednego, w którym wszystko zawarte: do *wiary*.

Co mówi Pan nasz do ślepych, którzy Doń przychodzą: „*Czy wierzycie*, że mogę was uzdrowić? — Tak. — Niech *wam się stanie wedle wiary waszej*“ (Mat. IX). Co mówi do Magdaleny?... „*Wiara twoja cię zbawiła*, idź w pokoju“ (Łuk. VII). Jaką odpowiedź daje setnikowi?... „Idź, niech ci stanie, *jakoś uwierzył*“ (Mat. VIII). Co wyrzuca Piotrowi chodzącemu po falach, gdy Apostoł, zagrożony utonięciem, woła ratunku?... „Człowieku *małej wiary*, *czemuś zwątpił?*“ (Mat. XIV, 22).

Tak! Dlaczego?...

Czyśmy nigdy na tę naganę nie zasłużyli? Ale oto — sposobność wynagrodzenia win naszych.

Sodalicya św. Piotra Klawera przedsiębierze krucyatę, broń, jaką nam podaje, to — modlitwa; cel zaś tej wyprawy pokojowej: zbawienie, nie już jednostki, nie narodu jednego, lecz milionów dusz, jęczących w jarzmie szatana.

I nie mielibyśmy wziąć udziału w takim podboju czarnego lądu?... Nie ociągajmy się! Prośmy z *wiarą gorącą*, *pokorną*, *niezachwianą*, a przez modlitwę naszą, zaniesioną w *Imię Jezusa*, my, co jesteśmy wobec Boga, „jakobyśmy nie byli“, staniemy się szafarzami Jego dobrodziejstw w dalekiej Afryce, gdzie misyonarze nasi walczą i giną.

Nowenna przypada w tym roku między 28 kwietnia a 7 maja. Do odprawienia jej służy modlitwa zatwierdzona przez władzę kościelną, a ułożona przez ś. p. O. Menyhardt'a T. J., misyonarza z Zambezy.

Modlitwę tę (format książki do nabożeństwa) wysyła w żądanej ilości *bezpłatnie* Sodalicya św. Piotra Klawera: *Kraków, ul. św. Anny 4.*

ODPUSTY ZUPEŁNE,

których w kwietniu dostąpić mogą członkowie i zelatorzy Sodalicyi św. Piotra Klawera:

3 kwietnia, w dzień św. Benedykta z S. Filadelfo, zw. Murzynem.
26 kwietnia, w dzień **Matki Boskiej Dobrej Rady.**
29 kwietnia, w dzień św. Piotra męczennika, O. S. D., a zarazem rocznicę założenia Sodalicyi.

Warunek: Godne przyjęcie św. Sakramentów Pokuty i Ołtarza, nawiedzenie kościoła, modlitwa o rozkrzewienie wiary i na intencyę Ojca św.

Odpust cząstkowy. 300 dni za każdym razem dostąpić może każdy członek Sodalicyi, jeśli ze skruszonem sercem przed świętem Matki Boskiej Dobrej Rady (26 kwietnia) uczestniczy w *triduum*, odprawianem przez Sodalicyę św. Piotra Klawera.

Zamknięcie redakcyi 1 marca 1911.

Wydawca: Sodalicya św. Piotra Klawera.
Redaktor odpowiedzialny: ***Zofia Popielówna.***

W Krakowie. — Drukarnia „Czasu“ pod zarządem A. Świerzyńskiego.



Ojcowie Kapucyni i chrześcijanie z kraju Somali.